

Dzieci są nasze

3 stycznia 2009

Nasze – czyli są własnością szkoły.

Jeśli dziecko nie chodzi do szkoły – to jest ofiarą. A jego rodzice to wielbłądy.

Izabela i Marek Budajczakowie z Ponieca od trzynastu lat udowadniają państwu, że nie skrzywdzili córki i syna. Wbrew wszystkim nie posłali dzieci do szkoły.

Wicedyrektor szkoły mówiła wprost: „oddajcie nam nasze dzieci”, dyrektor gimnazjum zabronił Emilii i Pawłowi przychodzić na lekcje religii, a burmistrz próbował nałożyć grzywnę na rodziców. Dzieci niepokornych rodziców były nawet pomawiane o związki kazirodcze. Wszystko przez to, że jako pierwsi w Polsce zdecydowali się na edukację domową.

Zwrot edukacja domowa dla byle funkcjonariusza, excuse le mot, oświaty, brzmi jak operowe intermezzo wykonane wiertarką udarową, a nawet gorzej. Krótko i węzłowato objaśnił stanowisko urzędasów tow. dyrektor szkoły rejonowej:

„- Miałem informacje od nauczycieli, że te dzieci są odizolowane od rówieśników, że siedzą ciągle w domu – wspomina Bolesław Lipowicz (60 lat), emerytowany dyrektor Szkoły Podstawowej w Poniecu. – Moim zdaniem im działa się krzywda. Sparzyłem się na historii Budajczaków i drugi raz nie wyraziłbym nikomu zgody na edukację domową. Miejscem do nauki dzieci jest szkoła.”

Zdanie szefa prowincjonalnego uczyliszcza jest prawem – on to bowiem jest kompetentny, aby ewentualnie wyrazić łaskawie zgodę na edukację domową. Pragnienie rodziców, aby jak najlepiej wykształcić własne dzieci, nie wystarcza, oni muszą o to uniżenie poprosić. Ukorzyć się przed jaśnie panem dyrektorem wiejskiej podstawówki i starannie objaśnić,

dłaczego uważają, że opieka państwowych biurokratów jest ich zdaniem gorsza od domowej oferty programowej. W tym przypadku tow. dyrektor warunkowo zgodę wyraził, czego jednak (vide powyżej) gorzko żałował – dwie sztuki skutecznie wymknęły mu się z obławy. Zapewne tej właśnie dziury w sieci tow. dyrektor najbardziej żałuje (sparzyłem się), jako że coś innego mogło go tak zaboлеć? Krzywda dzieci? Popatrzmy, jak urzędas oświatowy zadbał o ich dobro:

„Nauczycielka mówiła pozostałym uczniom, że młodzi Budajczakowie po prostu nie chcą chodzić z nimi do szkoły. Gdy Emilia przychodziła na lekcje religii, koledzy odsuwali się od niej. Krążyła też wśród nauczycieli plotka, że dzieci dziwnie się do siebie przytulały, gdy czekały na rekolekcje. Tylko że akurat tamtego dnia na te nauki poszło tylko jedno z nich.

Innym razem Paweł dowiedział się że „będzie siłą doprowadzony do szkoły w kajdankach”.

Przełomowy był 1999 r., gdy w ramach reformy w kraju wprowadzono gimnazja.

– Dyrektor Lipowicz pod koniec roku szkolnego powiadomił nas, że Emilia musi zdać egzamin kończący szkołę podstawową. To było niezgodne z prawem, poza tym miałyby za mało czasu na przygotowanie się. Emilia nie poszła na ten sprawdzian.

W efekcie dyrektor anulował zgodę na nauczanie domowe. Czternastoletnia Emilia została wezwana, by rozpocząć naukę w klasie piątej, a trzynastoletni Paweł miał wrócić do klasy czwartej.”

Jaki jest efekt tej heroicznej troski?

„Dziś 22-letnia Emilia i 21-letni Paweł nie mają nawet świadectw ukończenia szkoły podstawowej. W 2007 r. zdali za to w Gdańsku amerykańską maturę, która uprawnia ich do podjęcia studiów w 2,5 tys. uczelni w USA, Anglii czy Francji. W Polsce nie mają prawa studiować nigdzie.”

Odsapnijmy trochę, bowiem nadmiar oświatowej słodyczy grozi nudnościami. Przypomnijmy sobie inną historyjkę:

„Chłopiec zaczął uczęszczać do szkoły mając 8 lat. Lubił zdobywać wiedzę na własną rękę a w szkole nauczyciel starał się wpoić mu na siłę wiadomości, których mimo obawy przed chłostą nie potrafił zapamiętać. Dociekliwe pytania, które zwykle zadawał wywoływały tylko gniew nauczyciela. Stał się najgorszym uczniem w klasie i po 3 miesiącach usłyszał jak nauczyciel mówił o nim niezbyt dobre rzeczy. Zły na nauczyciela wybiegł ze szkoły i nie chciał do niej wrócić. Przez jakiś czas uczęszczał jeszcze nieregularnie do innych szkół. Uczył się przeważnie sam w domu czytając książki. W wieku dziewięciu lat przeczytał książkę, w której były opisane proste eksperymenty. Był tak zafascynowany jej treścią, że wykonał wszystkie eksperymenty w niej opisane. Później urządził w swoim pokoju małe laboratorium i zaczął wymyślać własne, wykorzystując dostępne składniki. [...]

W wieku 10 lat stał się miejscowym ekspertem od telegrafu uruchamiając samodzielnie urządzenie telegraficzne na stacji kolejowej w swoim miasteczku. W tym samym czasie został też wyrzucony z miejscowej szkoły podstawowej, gdyż zdaniem nauczyciela zadawał za dużo pytań i odmawiał wykonywania wielu prac domowych, które sam uznał za zbędną stratę czasu. Od tego czasu uczył się już wyłącznie sam i nigdy nie uczęszczał już do żadnej „oficjalnej” szkoły. Jego edukacją zajął się osobiście ojciec, który był komiwojażerem i zabierał syna na wspólne trasy objazdowe po USA i Kanadzie.”

Kim jest ta ofiara edukacji domowej, pokrzywdzona przez nieodpowiedzialnych rodziców? To niejaki Tomasz Edison, którego nazwisko wiąże się z żarówką, fonografem, oscyloskopem i tak dalej pięć tysięcy razy. Wynalazca został wyedukowany przez tatę-komiwojażera, bez pomocy (a raczej – bez przeszkód) ze strony regularnych szkół. Czy rodzice Emilii i Pawła reprezentują zbliżony status intelektualny, co poniekąd by usprawiedliwiało ich toksyczne upodobania?

Niestety, musimy sobie to jasno powiedzieć: nie, w żadnym wypadku. Pan Budajczak nie jest obwoźnym handlarzem, równać się z papą Tomasza, Samuelem Edisonem, nie może. Pan Marek Budajczak jest bowiem jedynie pracownikiem dydaktyczno – naukowym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza i nosi skromny tytuł doktora. A doktor to przecież mniej znaczy nawet od dyrektora szkoły podstawowej. Dyrektor szkoły podstawowej nie musi być doktorem, by doktorowi dyktować sposób postępowania z dziećmi owego doktora. A doktor może magistrowi-dyrektorowi jedynie skoczyć z rozbiegu obunóż.

Owa różnica w potencji obu panów znakomicie ilustruje stosunki społeczne między ludnością cywilną a kastą biurokratów (co wolno wojewodzie...). Liczy się bumaga z okrągłym kleksem urzędniczej pieczęci, a nie fakty:

„- Szanuję ich decyzję, ale swoim dzieciom bym tego nie zrobiła – twierdzi emerytowana nauczycielka Irena Danielczak. – Bo to jest Polska i tu są potrzebne polskie papiery. Nie przeczę, że te dzieci mają szeroką wiedzę, ale martwię się, czy to im pomoże w dalszym życiu?”

Czy szeroka wiedza pomaga w życiu? To kwestia, zdaniem pani nauczycielki, bardzo dyskusyjna. Co zatem pomaga w życiu? Tak jest, przecież o tym wspomniała – papierki. Papierek z warszawskiej tzw. Sorbony („szkoły” dającej świadectwa maturalne każdemu, kto przybłąka się z ulicy i potrafi podpisać się na liście obecności kilkoma nierozpoznawalnymi kulfonami) jest wart więcej od szerokiej wiedzy. Bo bumaga poświadcza to, co dla przeciętnego kuratora jest jeszcze w zasięgu percepcji, nieludzkim jest natomiast wymaganie, aby byle ministerialny egzaminator miał szeroką wiedzę – skończył szkołę publiczną, a nie domową, stąd trudno mu wypowiadać się o przedmiotach, które zaordynowali Budajczakowie swoim nieletnim ofiarom: malarstwie, rzeźbie, języku włoskim, mitologii kilku kontynentów, grece i łacinie.

Rodzice! Nie róbcie swoim dzieciom TEGO, nie odbierajcie im

szansy zdobycia kolekcji papierków. Pamiętacie Madzię Karwowską z Czterdziestolatka? Kretynka, wielbicielka wygadanych ćwierćinteligentów, snobka przewrażliwiona na punkcie swojej ważności i do tego wszystkiego – pani magister. Miała stosowny papierek. A skoro miała papierek, to po co jej jeszcze coś innego, na przykład szeroka wiedza?

Autor: xiazeluka

Źródło: [Niepoprawni](#)

OD REDAKCJI

Więcej o „edukacyjnych problemach” rodziny Budajczaków można przeczytać [TUTAJ.](#)